

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

15

— Szczęśliwy, kto z rąk pani to godło odbierze. Pani Marchocka, w odpowiedzi ułamała gałązkę laurusu i podała Bemowi.

— To za Ostrołękę i nie za nią... tylko...

— Nie zasłużyłem na tyle dobroci...

— Czynisz zaszczyt, pułkowniku, tym krzaczkom, nie spodziasz się takiego honoru. Od tej chwili dopiero stają się wawrzynem.

— Naprawdę usiłowałem sprostować pani w zgrabności wystowienia.

— Jedynie dlatego, że ostoja życia twego jest czyn! Takich zaś jak ja samotnie są słowa i tęsknoty daremne.

— Poglądając na panią, trudno uwierzyć, by każda z twych tęsknot nie musiała być ziszczeniem.

— Tak przypuszczasz, pułkowniku?

Oczy Bema spotkały się z rozmarzonym spojrzeniem pani Marchockiej.

— Jestem głęboko przeświadczony, pani kapitanowo...

— Nie nazywaj mnie, proszę, kapitanową! — odrzekła smętnie. — Nie mam ani ochoty, ani prawa do tej godności. A przytem — dodała żartobliwie — nie wystarczała mi podobno od pierwszej chwili.

— Ambicya pani...

— Ambicya moja szukała serca.

Rozmowa urwała się. Piękna twarz pani Marchockiej zasnęła się chmurkami. Pułkownik milczał, nie starając się nawet o watek nowy dla ozwania się. Był upojony. Siedział obok niego tuż rozwiewna, szeleszcząca, zleżka na ramieniu jego pochylona. Długie jej rzęsy drżały w promieniach bijącego w okno, przez gęstsze zarośli, słońca. Przejrzysta materya chwiała się kornie na falującym tonie.

Szła a plynęła. Odgłos jej kroków ginął w brząkaniu ostróg pułkownika.

— Ach! nie ma tego nudziarza! — rozległ się głosik pani Marchockiej!

Bem drgnął mimowolnie, jakby ze snu się zbudził.

— Nie ma go — przytwardził machinalnie.

Pani Marchocka wskazała pułkownikowi na wyrwane w rogu parku opiotki.

— Tędy uciekła. — Widzi pan, są jeszcze ślady. Nie uwierzy pułkownik, ile daliśmy, aby ją pojmano. I nie idzie mi o ukaranie... Ach raczej nagrodzić bym ją gotowa...

— A ja stokroć sówciej, bo inaczej nie danem by mi było poznać najpiękniejszej z dobrodziejek.

— Jest pan wartkim w komplementach, nie baczając, że komplement bywa zdradliwym...

— Prawdę szczerą...

Pani Marchocka objęła pułkownika powłóczytem spojrzeniem i uśmiechnęła się.

— Z całą skwapliwością deklaruję więc, że gdybym posądzała niewdzięcznicę o tak brzydki rodowód, cha, to kto wie, czy samaby jej do ucieczki nie namówiła...

— A ja wykradłbym ją niechybnie...

Liczko pani Marchockiej spoważniało raptem.

— Zapominamy jednak w samolubstwie o sprawie publicznej. Czy istotnie są dowody na pomówienie tego biedactwa?

— Niezbite nawet. Krótko mówiąc, w łachmanach dziewczyny znaleziono listy a między nimi pismo, będące najwyraźniejszą instrukcją dla szpiega.

— I nie wiadomo, do kogo adresowane?

— Instrukcja owa nosi jeno jakoweś znaki i nieczytelne inicjały.

— A listy? — pytała od niechcenia pani Marchocka.

— Listy są opatrzone nazwiskami.

— Ach, więc z łatwością przyjdzie ująć niegodziwców! Byłe dość energicznie wzięto się na policji.

— Hm, nie wiem. Jest to raczej rzeczą rządu a kto wie, czy nie sztabu.

— Więc nie dano znać do ratusza?

— Nie sądzę. Obowiązek nakazywał mi złożyć raport wodzowi naczelnemu.

— Wyobrażam sobie uczucie odrazy, które musiało przejąć pana, gdy dotykał tych haniebnych papierów! To straszne! Pomyśleć, że w momencie gdy cały naród!... Myśleć o tem niepodobna! I nazwiska są znane na listach...

— Jedno tak, dwa inne mniej, chociaż trudno orzec, zakrawają, według mnie, na sieci... Lecz brak

mi odpowiedzi. Czytałem ten, który nie był zapieczętowany.

— Więc pułkownik czytał! Ach, nie ważyłabym się spojrzeć. Śmieje się pan! Nie — nie! Za nic!

— Szlachetny wstręt!

— Lecz to już słońce ku zachodowi się skłania. Anim się spodziała. A tam Marynia Sałacka pewno już wszystkie altanki obleciała.

— Sałacka? — powtórzył przeciągle Bem, uderzony tem nazwiskiem.

— Córka generała inżynierów. Bardzo miła panna. A sentymentalna i nieszcześliwa. Opowiem kiedy pułkownikowi. Będzie i generał. Jemuby opowiedzieć o tej szpiegowskiej historii! Toż byś go ucieszył. Co kroku widzi zdrajcę. Dzielny, pocciwy człowiek, choć niedalekiego lotu. A naszego nudziarza, jak nie ma, tak nie ma. Pułkownik dawno z Sikorskim w przyjaciółstwie?

— Z panem Sikorskim? Nie mogę powiedzieć...

— Ani ja! — Znam go od tygodnia.

— A ja od wczoraj!

Pani Marchocka parsknęła serdecznym śmiechem.

— Cha-cha-cha! A toś mnie pułkownik zakasował! Cha-cha-cha! Paradne skojarzenie! — Spotkałam go akurat temu tydzień u majorowej Krasnodębskiej.

— A pani zna Krasnodębską?

Pani Marchocka potrząsnęła główką domyślnie.

— Jakby to pułkownikowi wypowiedzieć. Helenkę pamiętam jeszcze z klasztoru. Była starszą nademnie, lecz wiele okazywała mi. Po tem, co zaszło, — nie powinnam, stanowczo nie powinnam.

— Hurtig!

— Otóż właśnie! Ale i major wiele, wiele bardzo zawinił. Więc poprostu przez litość, raz do roku, aby się miała wypłakać przed kim. U niej zatem spotkałam Sikorskiego. I ten, jak go pułkownik znasz, z honorami do mnie, uprzejmościami. Powiem nawet, że gdy się zjawił u mnie z siurpryzą, zamierzałam go zbyć. Potulna postać owej nibyto sierotki pomiarkowała mnie nieco ale przekonało dopiero imię pana pułkownika!

— Pani!

— A od dziś dopiero dla Sikorskiego nabrałam zyczliwości... Ucieszna figura, zakazana, lecz pocziwa niezawodnie! Gospodaruje tu, jak u siebie.

— Tyle mu winienem, iż ośmielał się błagać dlań o przebaczenie.

— I ma je zupełnie i za to, że nas nie nudził. Z poza klombu bżów wysunęła się naprzeciw idącym dorodna, choć może zbyt opiekliwa blondynka.

Pani Marchocka powitała ją żwawym okrzykiem.

— Miałam przeczucie! Jesteś Marysiu! Pozwól, że ci sprezentuję, pułkownik Bem. — Panna Sałacka. I dawno, dawno?...

— Cały ogród schodziłam. Jest i tatuś!

— Ach, nie wiem, jak się wytłómaczyć! Ale to nie moja wina! Pułkownik odpowie przed generałem.

— Nawet przed sądem polowym!

Pani Marchocka rzuciła Bemowi powłóczytem spojrzenie.

— Trzymam za słowo! — Idźmy, idźmy! Ale, wiesz, przepadł nam Sikorski!

— Nieszkodliwie — zaśmiała się chropowato panna Sałacka — zabawia niewolnicę...

— Ach więc i pani Nadzieja! — wykrzyknęła gospodyni i już nie czekając na Bema i Sałacką wyrwała się naprzód i tak, że gdy pułkownik stanął na progu saloniku, pani Marchocka już ozwała się doń żartobliwie.

— Proszę pułkownika, nadewszystko przedstawić cię muszę najweselszej z naszych niewolnic.

Bem skłonił się niewielkiej a korpulentnej osobce o spiczastym, zadartym nosku.

— Pani Bażanow! — dodała gospodyni domu.

Pułkownik rozwarł szeroko oczy. Pani Marchocka, jakby nie spostrzegła zdumienia, które się na twarzy Bema zarysowało i poprowadziła go ku generałowi.

Ceglaste oblicze Sałackiego rozpromieniało.

— To sobie dobre! Pułkownik Bem! To sobie dobre! Pamiętam, znam, pod ten... pamiętam! Ho ho! To sobie dobre! Inżynierzy z artylerją jedna broń.

Pułkownik wszczął obojętną rozmowę z generałem. Sikorski zabawiał panią Bażanow. Pani Marchocka z panną Sałacką zniknęły na kilka minut, zakrzętnęły się i zaprosiły do podwieczorku w altance z lewej strony dworku.

Tu, przy kawie, wszczęła się dość ożywiona pogadanka, w której atoli Bem nie brał prawie udziału, ileż po mimo wysiłku nie mógł odpędzić myśli o tem, że owa szpiegowska posyłka zawierała listy, adresowane do panny Sałackiej i do pani Bażanow. Naprawdę pułkownik starał się wytłómaczyć sobie, że listy te mogły dotyczyć i dotyczyły bezwątpienia zgoła innych osób, że córka generała

i ruchliwa, a chichocząca wciąż jego sąsiadka nie miały nic wspólnego, krom nazwiska, z osobami, na które padał tak ponury cień, — wyzbyć się myśli o tem nie mógł. Jedynie, gdy pani Marchocka zwracała się doń, pułkownik ożywał się nieco, lecz niebawem znów milkł.

Lecz ta niemowność pułkownika dokuczyla śnać tak ruchliwej damie, jak pani Bażanow, bo zagadnęła nagle Bema:

— A cóż tam pułkownik mniema o wojnie?

— Trudna odpowiedź.

— Ma się rozumieć! — podjął z boku generał. — To sobie dobre, jakże tu kalkulować, co, kiedy...

— Uch! generał przecież pół wieku w kancelaryi siedział! A pułkownik ot w samym kotle się parzył...

— Jakto mościa pani! — To sobie dobre, no tak, piętnaście lat szefowałem inżynierskiej rachunkowości... ale ten... pod tym, jakże mu, — w dwunastym, nie, w tym roku...

— Wiem, wiem i muchy generał nie zabił...

— Osobiście, to sobie dobre, jako generał inżynierów...

— Raporciki, papiereczki! Wiem! Przecież i mój Bazyli też przy pałaszu chodzi i pochwę pustą od pistoletu nosi i ostrogami dzwoni a jak mu strzelić kazałam na wiwat *pour son jour de noir*, całą niedzielę miał bicie serca!

— Za pozwoleniem, bywa to...

— Już go i pan pułkownik nie ustrzeli, choć sobie ze wszystkich armat! Jestem spokojna!

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

— Lecz to nie chroni małżonka jej — wmieszał się Sikorski — od innych strzałów, bardziej zabójczych, bo niewieścich!...

— Oho! A ze mną sprawa! Niech nie śmie, bo, jak się to mówi... Kuba Panu Bogu, Jakób do Michała...

— Cha-cha, — pozwól kochanie...

— Pardon Anetko — niech najpierw się dowiem od pułkownika! Dobrze mi w tej naszej niewoli, przyjaźnie, wesole — ale ot niewola, jest niewola. — Dajcie mi mówić! — Więc kiedy pułkownik sądzi, że skończy się wojowanie?

— Gdy wygrana przechyli się stanowczo na jedną lub na drugą stronę!

— Przechyli się! O już tyle miesięcy się chyli! Ot, pobili byście się raz porządnie i pogodzili!

— Niema zgody! — ofuknął groźnie generał.

— Tatuś zawsze za wojowaniem. A przecież tyle już krwi przelano!

— Waćpauna nie masz tu rezolucyi! Żadnej zgody!...

— A pan pułkownik?

— Zależy od warunków zgody. Może być ona dla jednej strony klęską, dla drugiej wygraną.

— No tak, ale może być i prawdziwą zgodą — dowodziła pani Bażanow. — Kto się czubi, ten się lubi. Więc nie mówię, sama jestem generalską córką, — poczubić się dobrze a potem niech ten ustąpi i tamten niech ustąpi i zgoda sama się zrobi...

— Obawiam się — odrzekł Bem — że sprawa zaszła tak daleko, iż o ustępstwach dobrowolnych nie może być mowy.

— I słusznie, słusznie! — burczał generał. — Jeszcze jedna bitwa, jak pod tym... i to sobie dobre!

Panna Sałacka skrzywiła się. Pani Bażanow westchnęła z komiczną powagą.

— Uch! Więc proszę jeszcze o bułeczkę z miodem na ośłodzenie niewoli.

— Bronimy się! — zauważyła melancholijnie pani Marchocka.

— I do ostatniego ładunku!

— Pan generał jest dokuczliwy!

— Nie pani dobrodziejko...

— Lecz sprawiedliwy! — dodał Sikorski. — Musimy do czasu, nie na rady i ten...

— Otóż, otóż właśnie...

Pani Bażanow spoważniała.

— Lekko wam mówić a iluż na tem cierpi! Byłam dziś u Brońcowej. Żal patrzeć! Siedzą na Zamku i sami nie wiedzą, w którą stronę patrzeć.

Tu od księżny Łowickiej nie ma listu a tu pan Chłapowski wojuje i podobno atakował korpus Wielkiego Księcia. Rozdzielenie zupełne. I jeszcze *sans doute* czego dobrego z kwatery ich wyproszą, bo komuż mają marszałkować? Kucharz generała Skrzyneckiego przymówił słuzącemu Brońcowej od szpiegów! Marszałkowa poskarżyła się, ale i nic z tego nie wyszło. A ileż razy *la foule la plus basse* wygrała im pod oknami! Mówiłam Brońcowej, żeby się wyprowadziła! — Biedni, nieszcześliwi...

— I nie tylko oni! — dodała panna Sałacka. — Ileż rodzin żyje w trwodze o najbliższych.

— Wojna, moje dziecko, to sobie dobre! Każdy ma kogoś...

— Nie o nich mówię! Są w wojsku polskiem.